

CZĘŚĆ II

ROSJA i KAZACHSTAN

Dzień dwudziesty piąty

25 kwiecień 2010

Po wczorajszej imprezie wstawanie wyszło bardzo opornie. Ale jakoś dajemy radę. Gorzej z naszym praniem, które jakoś nie chciało w ciągu 5 godz. wyschnąć, w związku z czym Beata urządziła w naszej Dyskotece jedną wielką suszarnie. Skarpetki i nasza bielizna wisią w każdym dostępnym miejscu. Wyglądało to całkiem fajnie.

Dzień mija nam w samochodach dość szybko. Cały czas jedziemy piękną, górską, altajską doliną, którą płynie rzeka Czuja (od której główna droga zwana jest Czujskim Traktem). Piękna rzeka, wysokie góry i drewniane wioski – to wszystko tworzy tak niezwykły klimat, że nie chce się stąd wyjeżdżać. Liczymy również na to, że zdjęcia powinny wyjść całkiem ciekawie.

Miejscami droga ostro wspina się, czasem pikuje gwałtownie w dół. Samochody się męczą, ale cały czas jadą do przodu. Tak docieramy do Semnickiej przełęczy. Tutaj znajduje się sporo baraków, gdzie lokalni handlarze próbują swoich sił na turystach. Niestety – zaporowe ceny nie pozwalają nam na żadne zakupy. A to mimo braku jakichkolwiek kupujących. Nie jest to zrozumiałe, ale skoro tak chcą. Na samej przełęczy znajduje się grupa tablic informujących o odległościach do różnych stolic – do Pekinu wciąż mamy bliżej niż do Berlina. Szkoda tylko, że procedura wjazdu samochodem do Chin w dalszym ciągu jest taka skomplikowana. Gosia, znaczy moja siostra, tylko czeka, byśmy ją w Pekinie odwiedzili. Ale co zrobić? Przecież nie wsiądę do samolotu i nie polecę, zwłaszcza w perspektywie ostatniej katastrofy lotniczej, w której zginęło tyle ważnych polskich osobistości.

Im bliżej Nowoaltajska, tym więcej pojawia się miejscowości turystycznych oferujących wiele atrakcji – syberyjskie banie, spływy rzeczne, etc. Niestety – czasu na przejazd nie mamy za wiele – zwiedzanie Rosji obiecujemy sobie zostawić na następną wyprawę. Zwłaszcza, że bardzo nam się tu podoba. Życie jest może bardziej surowe niż w miejscach dotychczas przez nas odwiedzanych, ale urok i klimat tych miejsc powoduje, że chce się tu wrócić.

Zatrzymujemy się w jednej z miejscowości, gdzie kupujemy pyszne pierogi (znaczy się suche naleśniki wypełnione karmelem) i pielemieni z mięsem.

Późnym wieczorem mijamy duże, przemysłowe miasto Bijsk, za którym wynajdujemy miejsce na nocleg. Oczywiście nie udało się nam to za pierwszym razem, prób mieliśmy kilka. W Rosji często od głównych dróg odchodzą w bok kawałki asfaltu, za którymi tak naprawdę najczęściej nie ma nic. A właściwie za tym „nic” to najczęściej kryje się wjazd do lasu, w pole bądź dojazd techniczny do jakichś urządzeń. Przy czym wiosną, która właśnie teraz tutaj dociera, wjazdy te zalane są najczęściej wodą, bądź przysypane jeszcze resztkami śniegu. Z tego powodu znalezienie miejsca na nocleg troszkę czasu nam zajęło.

Dzień dwudziesty szósty

26 kwiecień 2010

Rankiem okazuje się, że spaliśmy na jakimś polu wyłożonym betonowymi płytami. Pewnie był to teren jakiejś starej jednostki wojskowej i tak już zostało. Dla nas było o tyle ok., że przynajmniej samochody stały w poziomie, co rzecz jasna przekładało się na komfort noclegu. Rysiek wczesnym rankiem zarządził taką pobudkę, że natychmiast postawił nas na nogi. Po wczorajszej imprezie wstawanie wychodziło nam zdecydowanie zbyt opornie.

Dzisiaj zostało nam tylko dojechać do granicy kazaskiej. Jest to jednak całkiem spory dystans a my mamy jeszcze obawy, że przejście graniczne może pracować podobnie jak na granicy mongolskiej, tzn. tylko do 18. A że chcielibyśmy dzisiaj granicę przeskoczyć, to wypada teraz pogonić. Po drodze mijamy dwa duże miasta – Nowoaltajsk i Barnauł. Podczas jednej z rutynowych kontroli milicyjnych decydujemy się na mały postój – jedzonko i zakup części zamiennych (kupujemy segery, smary i towotnicę). A na śniadanko jemy całkiem niezły szaszłyk. Tylko końcowa cena nie była nam do smaku. Jedziemy cały czas na południowy wschód. W międzyczasie zrobiła się przepiękna pogoda. Temperatura stopniowo rosła, by późnym popołudniem osiągnąć + 28 stopni. Kolosalna zmiana klimatyczna. Przecież parę dni temu walczyliśmy z ostrą zimą.

Zatrzymujemy się jeszcze w miasteczku Rubcowsk, gdzie odwiedzamy myjnię samochodową. Okazuje się, że więcej serca i zaangażowania wkładamy w czystość naszych pojazdów niż w nas samych. Ale było to już konieczność. Po myciu ilość błota i piachu, która została na posadce w myjni nas przeraziła. Samochody odchudziliśmy dość znacznie.

W pełnym słońcu docieramy do miejscowości granicznej – do Wesołego Jaru. Tutaj zmuszeni jesteśmy do długiego oczekiwania. Ale nic straconego – razem z nami na przekroczenie granicy czeka grupa Kirgizów i Tadżyków. Jesteśmy ciekawostką na przejściu, dzięki czemu nawiązujemy ciekawe znajomości i zbieramy ważne dla nas informacje. Niektóre są sprzeczne. Napotkani przez nas ludzie mówią, że nie ma co się bać wjazdu do Kirgizji (teraz tam jest dość niespokojnie, z Polski docierają do nas niepokojące informacje odnośnie sytuacji politycznej w tym kraju). Te informacje są zgoła odmienne od tego, czym raczą nas pogranicznicy. A my w dalszym ciągu liczymy na uspokojenie sytuacji i na to, że wpuszczą nas do Kirgizji. Nie chcielibyśmy rezygnować z wizyty w tym pięknym miejscu. Po długim oczekiwaniu wjeżdżamy w końcu na teren rosyjski przejścia granicznego. Tutaj odprawa przebiega całkiem sprawnie i w przeciwieństwie do innych nas nikt specjalnie nie kontroluje. Rzekłbym nawet, że kontrola była całkiem pobieżna. Gdyby nie konieczność czekania tą część przekroczylibyśmy w ciągu kilkunastu minut. Część kazaska zaczęła się niezbyt sympatycznie. Pierwszy żołnierz na bramce potraktował nas dość lekceważąco. Ale cała reszta była bardzo sympatyczna.

Po krótkiej odprawie i wypełnieniu wymaganych druczków wjeżdżamy na teren Kazachstanu.

A przy okazji odzyskaliśmy jedną godzinę.

Jedziemy raptem kilka km i decydujemy się na poszukiwanie miejsce na biwak. Znajdujemy całkiem sympatyczne miejsce w lesie, razem z Beatą gotujemy pyszny makaron z kukurydzą i fasolką. Po czym udaliśmy się na zasłużony odpoczynek.

Dzień dwudziesty siódmy

27 kwiecień 2010

Poranek w lesie – wspaniała sprawa. Cisza i spokój zakłócane są tylko śpiewem ptaków i wiatrem w koronach drzew. Ale czy to akurat można nazwać zakłóceniem? Wątpliwa sprawa. Jest tu tak miło, że aż nie chcę się odjeżdżać. Więc decydujemy się na mały przegląd samochodów. Pierwsze od czego zaczynamy to montaż segera na pólasi. Tego, którego zgubiłem na odcinku między Mongolią a Rosją. W końcu udało się dopasować jakiś od Moskwicza, więc trzeba było go tylko zamontować. Drugie w kolejności to smarowanie krzyżaków – po coś kupiliśmy smarownicę. Niestety – nasz nowy zakup wysiadł po przesmarowaniu pierwszego krzyżaka. Ale cóż się dziwić, skoro kosztował tylko połowę tego co krzyżak? Nie mniej – po drobnym kombinowaniu udaje się nam przesmarować wszystkie krzyżaki w Dyskotece i w Defie (a jest ich w sumie 9 szt.), co jest jednak możliwe przy znacznym ubytku smaru.

Ruszamy w kierunku miasta Semej, znanego bardziej pod starą radziecką nazwą Semipałatyńsk. Po drodze mijamy kilka małych wiosek, w jednej z nich zatrzymujemy się i oglądamy małą nekropolię. I tu pierwsza zagadka. Każda wioska ma dwa cmentarzyki – na jednych są groby prawosławnych, na drugich – muzułmanów. Ciekawy jestem, z czego taka separacja wynika? Docieramy do miasta. Semej od strony północnej nie prezentuje się nazbyt okazale. Miejscami bardziej przypomina syberyjskie wioski (zabudowa to stare, jednorodzinne, drewniane domostwa) niż miasto. Później jest zdecydowanie bardziej miejsko. Nie mniej – jeżeli nie ma się specjalnego powodu, miasto spokojnie można minąć bokiem. My jednak mieliśmy kilka powodów, by jednak na chwilę kilka się tu zatrzymać. Przede wszystkim – w Kazachstanie w dalszym ciągu obowiązuje meldunek. Aby dopełnić wszelkich formalności musimy odnaleźć komendę główną milicji, gdzie „registrowkę” można załatwić. Oczywiście – można to zrobić również w którymś z wyznaczonych hoteli, ale nie zamierzamy przecież zostać w tym mieście na noc. Odwiedzamy w tym celu pierwszy posterunek milicji, ale jedyne czego się dowiadujemy to adres komendy głównej. W międzyczasie odwiedzamy bank, gdzie wypłacamy gotówkę z bankomatu (można użyć zarówno kart VISA jak i MasterCard) oraz wymieniamy euro i dolary. Mimo, że podróżnicy nie raz sugerują, by brać tylko amerykańskie dolary, to z wymianą euro nie ma problemu. Kolejny z obowiązków to zakup ubezpieczenia OC na nasze samochody – na szczęście przy posterunku milicji stoją budki, w których można zakupić „strachówkę” (polisę ubezpieczeniową). Koszt na jeden miesiąc to ok. 1500 tengów (co przeliczając na nasze złotówki daje ok. 30 zł). Po załatwieniu formalności związanych z pozyskaniem gotówki oraz ubezpieczeniem samochodów ruszamy do centrum Semej w celu poszukiwania komendy. Na szczęście adres pokrywał się z mapką zawartą w naszym przewodniku, więc sprawnie docieramy na miejsce.

A na komendzie – w sympatycznej atmosferze, ale po niewielkich perturbacjach obsługiwani jesteśmy przez trzy miłe dziewczyny. W ten sposób mamy „registrowkę” do 05.05.2010 r. Może jest to i anachronizm, który i u nas kiedyś funkcjonował. Na szczęście tutaj „registrowka” przechodzi bez większych komplikacji. Dopełnienie obowiązku meldunkowego rejestrowane jest na kartce (karta emigracyjna), którą otrzymaliśmy na granicy, a która jest jakby załącznikiem do naszego paszportu.

Po dopełnieniu ostatniej czynności wybieramy się na krótki spacer po mieście, którego chyba jedyną atrakcją w centrum jest mały park nad rzeką Irtysz. Rzeką, którą już raz podczas naszej podróży przekraczaliśmy – w Omsku, ale tam o ile mnie pamięć nie zwodzi, rzeka była jeszcze skuta lodem.

Wracamy do samochodów i ruszamy na południe. Zanim opuszczamy miasto zatrzymujemy się jeszcze przy Woskreseńskim Soborze (prawosławna katedra). Jest to odnowiona w jaskrawych tonacjach świątynia.

Południowa część miasta jest zdecydowanie bardziej wielkomiejska. Ogromne wrażenie robi na nas nowy most przerzucony przez rzekę. Zatrzymujemy się jeszcze na stacji paliw, bo w naszych bakach posucha (zwłaszcza w Defie, bo chłopaki w nocy używają ogrzewanie postojowe). Na szczęście paliwo mają tu dość tanie (poniżej 1,50 złotego). Jeszcze małe zakupy i ruszamy dalej. Kierujemy się na Karakuł, świadomie opuszczając główne drogi. Ale tu niespodzianka – jak na razie jedziemy cały czas asfaltową drogą ... Niestety, z każdym km jej stan się pogarsza. Ale i to jest lepsze od dróg, które mieliśmy w Mongolii.

Zatrzymujemy się w przydrożnym barze. Bardzo skromne miejsce, za to ze smacznym jedzeniem. Dostajemy bileszi z mięsem. Jest to potrawa nieco podobna do pierogów smażonych w oleju, które jedliśmy w Har Horin. Tak naprawdę różni się tylko sposobem przyprawienia. Tutaj do jedzenia serwują nam zwyczajną herbatę, niestety – bez cukru (właścicielka lokalu – jak widać - nie była zbyt dobrze przygotowana). Na postoju uzupełniamy również nasze zapasy wody pitnej. Jesteśmy w górach, a tu bije źródło z czystą wodą.

Ruszamy dalej. Włączymy się nieśpiesznie po okolicy, przyglądając się kazaskiemu stepowi i niskim górcom. Góry przypominają raczej pagórki (kojarzą się z polskimi Górami Świętokrzyskimi), a step – cóż – ogromne połacie terenu porośnięte trawą i inną roślinnością, na której wypasane są stada krów i owiec, a gdzie niegdzie pojawiają się również konie. Właściwie to krajobraz do złudzenia przypomina to, co widzieliśmy w Mongolii (jakoś teraz wszystko do tego kraju porównujemy), tyle, że roślinność tutaj wydaje się znacznie bardziej bujna.

Przy drodze zauważam mały budynek przypominający meczet. Zwalniam i powolutku zjeżdżam na gruntową drogę, by podjechać bliżej. Niestety – gruntowa droga jest tak podmokła, że po przejechaniu kilkudziesięciu metrów auto zatrzymuje się i grzebie się w błotnistej mazi. Wychodzę z samochodu i sam mało nie topię się w błocie. Wszystko dookoła jest wilgotne. Ruszam pomalutku w kierunku chłopaków, wyszukując twardej drogi. Znajduję twardszy przejazd, daję znać Januszowi, który próbuje do mnie podjechać. Niestety – on jeszcze szybciej grzęźnie i w ten sposób obydwa Land Rover'y są już unieruchomione. W międzyczasie na miejsce „bitwy” zaglądnę mieszkańcy pobliskiego siola, którzy również chyba są właścicielami tego terenu.

Początkowo nie mogliśmy zrozumieć, po co w ogóle wjechaliśmy na ich pole. Ale trzeba również wyraźnie zaznaczyć, że są bardzo przyjaźnie do nas nastawieni. Chodzi tu raczej o to, że dla nich pojęcie „turystyka” chyba nie jest całkiem jasne. Mimo zdenerwowania z naszej strony wykazują oni sporą cierpliwość i wyrozumiałość dla nas. Co więcej – starają się nam pomóc jak tylko mogą – w sumie to oni wyciągnęli Defa z błota, pomagają w wykopywaniu samochodów. Na ich pole wjechaliśmy późnym popołudniem, a wydostawanie samochodów z błota zakończyliśmy dobrze po północy. To co zrobiliśmy z ich terenem zakrawało na pomstę do nieba, nie mniej – nie usłyszeliśmy złego słowa od Kazachów. Kazachstan nie wita nas zbyt sympatycznie, Kazachowie – wręcz przeciwnie.

Zmęczeni i nerwowi opuszczamy to miejsce. Udaje się nam zrobić kilka km, gdy zjeżdżamy z drogi i znajdujemy twardą i – co ważniejsze – suchą polankę, gdzie zostajemy na nocleg.

Padamy niemalże natychmiast.

Dzień dwudziesty ósmy

28 kwiecień 2010

Mimo wczorajszej akcji wstajemy bardzo wcześnie i ruszamy w drogę. Cały czas jedziemy podmytym stepem. Krajobrazy są monotonne, my zmęczeni, więc tak naprawdę wlecemy się a nie jedziemy. Mijamy kilka wiosek, raz gubimy nawet drogę.

W Karaul robimy sobie małą przerwę. Wybieramy się na spacer po muzułmańskim cmentarzu. Tutejsze cmentarze w niczym nie przypominają naszych polskich, ani europejskich cmentarzy. Nawet te, które dotychczas oglądaliśmy, także w krajach islamskich, nie przypominają tutejszych. Cmentarze wyglądają jak osiedla małych domków. Mogiły – z pozoru bardzo proste, bo nieboszczyk przysypany jest tylko ziemią, bez żadnego pomnika – są obudowane miniaturowymi zabudowaniami. Im znamienitsza osoba jest pochowana, tym okazalsze obiekty są wystawione. Nasuwa się mała dygresja – po śmierci spoczywają w lepszych warunkach, niż żyli za życia. Ale co kraj to obyczaj. Zaskakujące jest to, że w małej wiosce czy miasteczku potrafi być kilka takich nekropolii.

Półprzutomni docieramy do Ajaguz, które mijamy bez zatrzymania. Kilka km dalej, zjeżdżamy z głównej asfaltowej drogi kierując się na Aktagay. Początkowo jedziemy dobrą, szeroką drogą szutrową, która po kilkunastu km zamienia się w polną drogę, a ta z kolei kończy się przy betonowym, niedokończonym moście. Zatrzymujemy się na krótki odpoczynek – dzień jest upalny, dalej jechać się nie chce – pada więc hasło – zostajemy tutaj i robimy dzień gospodarczy. Jak ustaliliśmy, tak zrobiliśmy. Zaraz za mostem znajduje się kamienisty ale dość szeroki brzeg, gdzie parkujemy nasze samochody.

Co robimy? Pierzemy nasze brudne ubrania, myjemy samochody i nas samych przy okazji, biesiadujemy i udajemy się na zasłużony odpoczynek. W końcu mamy przecież wakacje.

Dzień dwudziesty dziewiąty

29 kwiecień 2010

Zbieramy się dość leniwie. Przed wyjazdem mamy sympatyczne odwiedzinę – jeden z miejscowych pastuchów podjeżdża do nas konno i wywiązuje się mała pogawędka. Od niego wiemy, że droga do Aktagay biegnie cały czas wzdłuż torów kolejowych. Tyle, że musimy je przekroczyć, bo z tej strony po której jesteśmy, przejazdu nie ma w ogóle. Ruszamy więc na poszukiwanie torów kolejowych. Znajdujemy je, a także kilka domostw zlokalizowanych w ich pobliżu. Początkowo wydawało się nam, że jest to stacja kolejowa, ale nie – to tylko dwa czy trzy gospodarstwa. Mijamy je i natrafiamy na kolejne błota, których mnie nie udaje się pokonać. Janusz pomaga mi się wygrzebać, a w międzyczasie Beata z Ryśkiem poszli rozeznaczyć możliwości dalszego przejazdu. Próbuje dalej kierować się na południe, ale droga nie dość, że znacznie oddala się od torów, to jeszcze robi się bardzo grząska. Musimy więc zawrócić. Na domiar wszystkiego – łapie nas wiosenny, krótki, ale bardzo gwałtowny deszcz. Chwilka na dworze i jestem cały mokry.

Wracamy więc do zabudowań. Za radą mieszkańców, kierujemy się na północ wzdłuż torów. Kilka km dalej ma być przejazd kolejowy. Wracamy więc przez znane nam już okolice i docieramy do małego osiedla, gdzie rzeczywiście przejazd jest – nie możemy tylko znaleźć do tego osiedla drogi dojazdowej – każda próba kończy się albo zaspą śnieżną albo podmokłą łąką. Dużym objazdem docieramy do przejazdu, zanim jednak udaje się nam go pokonać mamy jeszcze jedną przeszkodę wodną przed sobą. Coś ten Kazachstan o tej porze roku dość wilgotny jest. No, ale mamy przecież dopiero końcówkę kwietnia, więc tak naprawdę to początek wiosny.

Jedziemy w kierunku Aktagay, które pomalutku (wg wskazań naszego GPS-a) się przybliża. Mijamy kilka małych stacji kolejowych i kilka osiedli. W jednym z takich osiedli próbujemy pokonać bród, co kończy się utopieniem Defa. Akcję ratunkową przyszło oglądać z pół wsi. I dobrze, bo po jej zakończeniu jeden z mieszkańców dosiada się do Janusza i pokazuje nam objazd. Bez pomocy nie udałooby się nam dobrej drogi odnaleźć, bo tak naprawdę to cała okolica jest podtopiona.

Późnym popołudniem, niczego specjalnego się nie spodziewając, docieramy do małej polanki, która jest przecięta błotnistą drogą. Janusz niemalże przeskoczył błotko, informując mnie, że gdzieś w połowie drogi uderzył podwoziem w jakiś wystający kamień. Jako, że mój samochodzik jest niżej zawieszony, podszedłem do przeszkody delikatniej niż Janusz, co niemalże natychmiast (przejechałem może z 15 m) zakończyło się koncertowym wklejeniem Dyskoteki w błoto. Własnymi siłami zaczynamy akcję ratunkową. Niestety – Dyskoteki nie daje się przeciągnąć na drugą stronę – im bardziej jest ciągnięta, tym mocniej grzęźnie w błotnistą maź. Janusz próbując podjechać do mnie sam wkleja Defendera – jemu na pomoc rusza ekipa remontowa instalacji elektrycznych i telefonicznych, biegnących przy torach. Po wyciągnięciu samochodu podejmują próbę objechania błota swoim UAZ'em. Niestety próba ta kończy się niepowodzeniem. Razem z chłopakami po kolei próbujemy ratować nasze samochody. Podczas akcji zastaje nas noc, chłopaki rezygnują, porzucają swój samochód i idą na piechotę do wioski, obiecując pomoc o poranku. My jeszcze próbujemy, ale niestety – bez powodzenia. Cóż zrobić? Szykujemy się do snu. Dzisiejszą noc spędzamy w pozycji siedzącej na przednich fotelach – nie ma mowy o przygotowaniu samochodu do spania – wszędzie dookoła błota prawie do kolan. Kolejna już błotna przygoda. Tym razem jednak nie udało się jej jak na razie zakończyć.

Dzień trzydziesty

30 kwiecień 2010

Wstajemy bardzo wcześnie. Już kilka minut po piątej jesteśmy na nogach. Przyczyn tak wczesnej pobudki jest rzecz jasna kilka. Pierwsza – to pociągi jadące jeden za drugim nie specjalnie sprzyjają odpoczynkowi. Druga – znowu jest dość chłodny poranek, temperatura oscyluje w granicach + 5 st. C. No i najważniejsze – trzeba brać się do roboty. Uwolnienie pojazdów (wszystkich trzech) jest warunkiem koniecznym.

Ruszamy więc do pracy. Łopaty, siekiery, hi-lift w dłoń – tak zaczyna się nasz poranek. Udaje się nam nieco odkopać Dyskotekę i podłożyć pod koła drewniane belki. W międzyczasie Rysiek naściął sporo okolicznych krzaczków, które podkładamy pod koła samochodu. No i czas na generalną próbę. Ruszam delikatnie i udaje mi się zmienić pozycję samochodu o jakieś 5 m. Dobrze i to, chociaż nadzieja była na całkowite uwolnienie autka. Zabieramy się ponownie do pracy, ale pojawiają się drobne kłopoty z podłożeniem lifta – grunt jest bardzo twardy i nie ma jak manewrować dźwignią. W międzyczasie dociera do nas ekipa robotników przytorowych, którzy wydatnie pomagają w dalszych pracach. Wraz z nimi pojawiają się dwa kawałki drewnianych słupów telefonicznych, którymi na tyle są w stanie podnieść auto, że my mamy pole manewru do lifta. Po ponownym podłożeniu belek pod koła i wzmocnieniu drogi ściętymi krzaczkami udaje mi się wyprowadzić Dyskotekę na twardy grunt. Teraz kolej na wydostanie dostawczego UAZ'a brygady robotniczej – wpięrową wyciągarką podciąga ich Janusz, a następnie ja wyciągam ich na linach. W ten sposób uwolnione zostały dwa samochody. Defender wprawdzie nie jest zagrzebany, ale stoi przecież po drugiej stronie błota. Na szczęście nie ma większych problemów z przebyciem nieszczęsnej błotnej przeszkody, większość pokonuje o własnych siłach zachowując trakcję dzięki dziesiątkom krzaków zatopionych w błocie, i tylko ostatni odcinek pokonuje przy użyciu wyciągarki podpiętej do mojego samochodu. Teraz pozostają już tylko prace porządkowe i chwila relaksu. Beata robi nam wszystkim pamiątkowe zdjęcia (każdemu z pomocników, a było ich 8, robimy pamiątkową odbitkę). No i możemy ruszać dalej.

Niestety – jest już południe. A my i nasze samochody – to jeden wielki obraz nędzy i rozpaczy. Decydujemy się na powrót na naszą polankę nad rzeczką – tutaj ponownie robimy kosmetykę naszych pojazdów i nas samych. Bez większego pośpiechu robimy niezbędne prace gospodarcze, Beata gotuje nam obiad, a my robimy porządki, przepakowania, pranie, etc.

W ten oto sposób mija nam kolejny dzień w Kazachstanie. Ponownie odpoczywamy po ciężkiej walce z kazaskim błotem. Ale taki jest właśnie urok naszej podróży – wybierając drogi leżące poza głównymi traktami narażamy się właśnie na takie przygody.

Dzień trzydziesty pierwszy

1 maj 2010

Dzisiaj jest sobota. A na dodatek święto. W końcu mamy pierwszego maja. Jak nam tłumaczyli mieszkańcy – to święto solidarności.

Budzimy się nad znajomą rzeczką. Wstajemy dość wcześnie, w końcu wczoraj również położyliśmy się wczesnym wieczorem. Jesteśmy wypoczęci i rządni przygód. Niestety – musimy się cofnąć po własnych śladach jakieś 30 km do głównej drogi, żeby móc w końcu ruszyć na południe. Docieramy do asfaltu i zatrzymujemy się w pierwszej wiosce. Beata kupuje tu pyszne maślane bułeczki, które nawet temu malkontentowi Januszowi zasmakowały. Nie mniej – parę km dalej zatrzymujemy się na rozstaju dróg, gdzie stoi maleńka „gostinica” i „kofe”. Na szczęście jesteśmy wyspani, ale poranna kawa i dobre śniadanie powinno nam poprawić nastroje. Wchodzimy do schludnej knajpki, gdzie dostajemy niezłe posiłki – ja jem „manty” (to rodzaj pierogów z mięsem i cebulą), chłopaki raczą się rosółem z kawałkami gotowanego ciasta (tego samego, które ja mam w moich pierożkach) i mięsa, a Beata je zapiekankę makaronową z mięsem i ziemniakami.

Syci docieramy do kolejnego rozstaju dróg, gdzie odbijamy na lewo w kierunku wschodnim. Po drodze podziwiamy kolejne ciekawe stacje benzynowe. Pomysłowość Kazachów w tej materii wydaje się nie mieć granic. Docieramy do małej miejscowości Taszkeszken. Zatrzymujemy się w centrum, gdzie zlokalizowanych jest kilka sklepów. Dzisiaj jest święto, więc centrum miasteczka wygląda dość odświętnie i jest tu sporo ludzi. Robimy zakupy, pieczywo, troszkę słodyczy, troszkę warzyw i owoców. A także wino, które w późniejszym spożyciu okazało się jakości naszych win typu „Pokusa”. Po zapakowaniu samochodów próbowaliśmy ruszyć dalej. Ale coś zaczęło blokować mi tylne koło, skąd zaczęły dobiegać podejrzane głośnie stuki. Odjechaliśmy kawałek i zatrzymaliśmy się na placu między zabudowaniami. Po podniesieniu samochodu wszystko stało się jasne – zablokowany jest tylny dyferencjał. Pytanie tylko dlaczego? Po zdemontowaniu siłownika tylnej blokady okazało się, że to nie wina blokady – przesuwka jest na swoim miejscu. Otworzyliśmy więc dyferencjał, w którym ułamał się wałek satelitek i zablokowała się w korpusie zębátka. Cóż zrobić? Części do dyfra MaxiDrive’a niestety nie mam, na szczęście mam zapasowy dyferencjał, ale zupełnie innego typu. Zaczęliśmy więc przezbierać podzespoły. Początkowo wszystko szło jak z płatka, ale po zmontowaniu dyfra nie udało się nam włożyć do pochwy mostu. Niestety – tarcza do której przykręcone jest koło zębátke jest szersze i większej średnicy niż w tym uszkodzonym. No i mamy zgryz. Jest późny wieczór, święto, sobota – cóż tu zrobić? Odpuszczamy, myjemy się i kładziemy się spać. Jutro może coś wpadnie nam do głowy. Naprawę zaczęliśmy po 13 a skończyliśmy koło 21. Cały dzień stracony – niestety.

W międzyczasie – gdy ja z Januszem próbujemy doprowadzić Dyskotekę do używalności – Beata z Ryśkiem nawiązują nowe znajomości. Z całej wsi zleciały się małe dzieci, gdy Beata zaczęła rozdawać słodycze. Takie informacje rozchodzą się lotem błyskawicy. Odwiedzili nas również lokalni policjanci i kilkoro dorosłych. A pomocą służyli także okoliczni mieszkańcy i pracownicy lokalnego kołchozu. Jeden z mieszkańców nawet zawiózł mnie do warsztatu mechanicznego, gdzie mogłem skorzystać z maszyn do przeróbki dyferencjału. Mieszkańcy Kazachstanu są bardzo gościnni, uczyni i chętni do pomocy. Czasem aż za bardzo. Ale jest to miłe i sympatyczne. Nie trzeba się bać, że zostanie się samemu z kłopotem. Szkoda tylko straconego dnia. Ale cóż było zrobić?

Dzień trzydziesty drugi

2 maj 2010

Nocleg w środku wioski, w uszkodzonym samochodzie, bez kąpieli – to nie to, o czym można marzyć. Ale jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Zmęczony, zrezygnowany wstałem zastanawiając się co robić dalej. Na szczęście Janusz wie, jak podtrzymać człowieka na duchu, więc ponownie ubrałem robocze ubranko i zabrałem się za wyciąganie dyferencjału z samochodu. Pierwsze pomysły dopasowania nowego dyfra do pochwy mostu spełzyły na niczym. Udało się nam nawet pożyczyć wiertarkę, ale to wszystko na nic. Ale mieliśmy troszkę szczęścia w nieszczęściu – gdy Janusz zaholował Dyskotekę na najazdy (tu nazywane estakadami) w pobliżu pracował spawacz, który podjął się wypalenia otworów w dyfrze. To zadziałało. Przypasowaliśmy detale i mamy już pewność, że damy radę uruchomić samochód i ruszyć w dalszą drogę. Humor od razu się poprawił, mimo, że przede mną jeszcze masę roboty. Uczciwie muszę przyznać, że bez Janusza pewnie bym nie dał w ogóle rady, ale i Beata masę pomogła. Bardzo się starała.

Po zmontowaniu i uruchomieniu samochodu, co zajęło nam czas do południa, w końcu ruszyliśmy w dalszą drogę. Mnie dopadły smutne myśli – jakoś ta podróż od początku usłana jest niepowodzeniami. Wprawdzie nie można narzekać – dzieje się cały czas sporo, przygód mamy co niemiara, w ciągu tego miesiąca widzieliśmy więcej niż nie jeden przez całe życie. Ale mimo wszystko za nami ciągnie się jakieś fatum. Ekipa Czesława podeszła po macoszemu do samochodu, ja tego nie przypilnowałem i teraz to się mści. Chciałbym, żeby to już był koniec problemów technicznych, ale jeszcze cały czas niepokoi mnie skrzynia biegów i reduktor. Na domiar złego – od wstrząsów i wibracji znowu naderwał się dach przy słupkach – w większym mieście będę musiał znaleźć jakiegoś spawacza argonowego.

Smętne myśli udało się przegnać dopiero, gdy zatrzymaliśmy się jakiejś wiosce by uzupełnić nasze zapasy. Kobięcina sprzedająca w wiejskim sklepiku bystro pracowała na liczydło (mimo, że kalkulator leżał obok). Od razu przypomniały mi się czasy szkoły podstawowej, gdy jeszcze mnie uczono tej sztuki. Ale dzisiaj chyba bym się już tego nie podjął. Kupiliśmy świeże pieczywo (zapach chleba porusza mnie do głębi), troszkę słodczy, parę konserw. I ruszyliśmy dalej.

No i wjechaliśmy do miasta Urdżar. Szukamy jakiejś kafejki, bo czas już na kawę dawno minął, a my jacyś tacy półprzytomni, wręcz otępiali. Zajeżdżamy pod jeden z nowocześniejszych budynków, gdzie spotykamy tych policjantów, którzy wczoraj wieczorem asystowali nam przy naprawie Dyskoteki. Świat jednak jest mały. Znowu poszły aparaty w ruch – tutejsza policja bardzo chętnie pozuje do zdjęć. A przestrzegano nas przed wymuszaniem łapówek, niesympatycznym zachowaniem służb mundurowych – nic z tych rzeczy. Są bardzo sympatyczni i przyjaźnie nastawieni. Inna sprawa, że wcale nie staramy się w niczym im podpaść.

W restauracji obsługa była jakaś niemrawa. To chyba pokłosie jakiejś imprezy uskutecznionej poprzedniego wieczoru. Kelnerka zaproponowała nam pizze ... Nie skorzystaliśmy, za to poprosiliśmy o jakąś kazaską potrawę. Dostaliśmy gotowane ciasto (takie jak używa się na pierogi) z cebulką i gotowanym mięsem wołowym, a do popicia ciepły rosółek. Bardzo nam to smakowało, chociaż po prawdzie wolimy jednak jakieś proste, przydrożne bary. Restauracji z założenia unikamy.

Mijamy centrum miasteczka. Kątem oka zauważam, że jest tu bazarek, który mimo niedzieli jest pełny sprzedających. Zatrzymujemy się i kupujemy troszkę świeżych owoców. Nie ma tu jednak specjalnie gdzie pomyszkować, więc wracamy z zakupami do samochodów i ruszamy dalej, na wschód, w kierunku chińskiej granicy. Dziurawa droga nagle zmienia się w nowiutką szosę i w takich warunkach docieramy do Makanszi. Kilka km za miasteczkiem zjeżdżamy w boczną drogę i kierujemy się na jezioro Alakol. Parę dni temu polecali je spotkani Kazachowie, a oni chyba najlepiej wiedzą co warto tu zobaczyć.

Zanim docieramy na miejsce zatrzymujemy się przy przydrożnym siole, gdzie – jak wynikało z opisu – można skosztować kumysu. Niestety – kumysu nie skosztowaliśmy – dostępny będzie dopiero latem. Ale nas już wtedy tutaj nie będzie.

I taka mała dygresja. Tereny, przez które przejeżdżamy, zamieszkują głównie muzułmanie. A wszędzie dostępne jest piwo, wódka, wina, czy inne alkohole. I po sporej części mieszkańców widać, że nie stronią od alkoholu. Muszę wywiedzieć się co i jak.

Na horyzoncie widać już blask tafli wody. A my jedziemy na granicy słonecznej i burzowej pogody, co daje ciekawe kontrasty, więc co trochę się zatrzymujemy, by zrobić kilka zdjęć. W takiej atmosferze dojeżdżamy do dużego ronda (kolca, jak nazwał je zapytany przeze mnie o drogę Kazach) i skręcamy w kierunku jeziora w poszukiwaniu spokojnego miejsca na nocleg. Miejscowość, do której dotarliśmy, to lokalne lotnisko. Jest tutaj sporo domków przypominających, a może raczej – pełniących funkcję kempingowych. Gdy docieramy do jeziora podjeżdża do nas młody chłopak terenowym Nissanem i zaprasza nas na rybkę. Odnajdujemy plac budowy na którym pracuje i jedziemy z nim sprawdzić, co złowiło się w zastawionych przez jego pracowników sieciach – efekt połowu to dwa średniej wielkości okonie.

Jezioro Alakol jest sporym zbiornikiem wodnym o wodach częściowo słonych, a częściowo słodkich. Jest to możliwe dzięki rzekom zasilającym jezioro w słodkie wody, które pochodzą z wysokich gór.

Samochody parkujemy na terenie budowy, gdzie dzisiaj będziemy nocować.

Żenia, chłopak, który nas zaprosił zorganizował ryby i całą imprezę. Balowaliśmy w baraku, w którym mieszkali jego pracownicy budowlani. Chłopaki grzecznie leżały w łóżeckach, gdy ich szef i jego zastępca bawili się z nami. Jeden z pracowników jeszcze oprowiał ryby a drugi pełnił rolę kucharza.

Serwowali nam różne specjały - wędzony karaś, smażone w głębokim oleju karasie i okonie, a także ich największy specjał – smażona ikra z okonia. Ryby, zwłaszcza smażone, były przepyszne – prawdziwe delicje. Ikra mniej. Takimi drobinkami trudno się najeść. A po posiłku przyszedł czas na trunki – rzekłbym nawet dość mocne trunki. Wstyd się przyznać, ale i ja sporo wypilem. Nie mniej – poddałem się jako pierwszy i poszedłem spać. A impreza w Alakol (bo tak nazywała się ta mała miejscina) trwała ...

Dzień trzydziesty trzeci

3 maj 2010

Początek dnia był bardzo trudny. Przede wszystkim dla naszego gospodarza. Ja wstałem dość wcześnie, nawet całkiem rześki. Nasz gospodarz – niestety nie. Po przebudzeniu bolała go dość mocno głowa. Co więcej – nie wspomnę.

Żenia zapraszał nas jeszcze na wizytę w lokalnej bani (łaźni), ale nie chcąc zbyt go wykorzystywać grzecznie odmówiliśmy. Przyjęliśmy jeszcze tylko zaproszenie na wspólną herbatę i zakończyliśmy nasze wspólne, miłe spotkanie pamiątkowymi zdjęciami.

Minęliśmy Kabanbaj, na skraju którego jeszcze zatankowaliśmy paliwo. Nie ujechaliśmy zbyt daleko, znaleźliśmy bowiem fajną polankę na której zatrzymaliśmy się na śniadanko. Janusz znowu stanął na wysokości zadania i zrobił przepyszną jajecznicę, szkoda tylko, że jaj było raptem 12. Bo by się zjadło nieco więcej.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy syci i zadowoleni w dalszą podróż. Niestety – główna droga prowadząca między brzegiem jeziora Alakol a chińską granicą jakością nie grzeszy. Nota bene – tak blisko Chin jeszcze nie byliśmy – od granicy dzieliło nas raptem kilkanaście km. Niby dobra, szeroka i równa droga szutrowa, ale rwące górskie rzeki dość mocno ją podniszczyły. Co kilka km pojawiają się głębokie wyrwy w jezdni, zmuszające nas do jazdy poboczami bądź polem. W Defenderze pojawił się jeszcze problem z przygaszającym się silnikiem, co mogło być spowodowane złą jakością paliwa.

Dotarliśmy do końca jeziora Alakol, gdzie nasza droga przekroczyła linię kolejową i gdzie pojawił się kiepskiej jakości asfalt. Teraz droga prowadzi między dwoma jeziorami, by po paru km skręcić w prawo kierując nas ponownie wzdłuż brzegu (przeciwległego) jeziora Alakol i kazaskiego pasma Ałtaju. Zatrzymujemy się na chwilę przy malowniczym kanionie rzeczonym, gdzie decydujemy się na opuszczenie głównej dziurawej by przez jakiś czas jechać wzdłuż pięknego kanionu. Po przejechaniu kilkunastu km górkami drózkami wracamy na główną drogę, by po przejechaniu kolejnych kilkunastu km zjechać na górką drogę wiodącą do Andriejewki. I tu wielka niespodzianka. Droga wiję się po górach, przejeżdżamy kolejne przełęczce i podziwiamy przepiękne górskie pejzaże. A do tego zmienił się całkowicie krajobraz. Wszędzie dookoła masa zieleni. Aż w oczy kole. Ałtaj jest przepiękny. Przejeżdżamy przez kilka malowniczych wiosek, w których robimy zakupy. Mijamy Andriejewkę i kierujemy się na Lepsinsk. Kilkanaście km wcześniej zjeżdżamy z głównej drogi w góry i znajdujemy polankę, na której zatrzymujemy się na noc.

Beatka przygotowuje kolację a my po kolei bierzemy pseudo – prysznic (przy pomocy ciepłej wody ze zbiornika i metalowego garczka). Niestety – prawdziwy prysznic czas jakiś temu nawalił, więc nie ma innej możliwości. Mimo, że chłodne, rześkie górskie powietrze nie zachęca do kąpieli, to po umyciu człowiek zupełnie inaczej się czuje. Pytanie, kiedy znowu będzie taka okazja.

Dzień trzydziesty czwarty

4 maj 2010

Do Lepsińska dojeżdżamy z przysłowiową duszą na ramieniu. Nie wiedzieć czemu, ale właśnie do tego miasteczka potrzebna jest specjalna przepustka, którą można wyrobić w Ałma-Acie. My jeszcze tam nie byliśmy, więc stosownej przepustki rzecz jasna nie mamy. Ale ryzykujemy, bo lokalizacja jest tego warta. Lepsińsk to taki kazaski odpowiednik naszego Zakopanego. Wokoło przepiękne, ośnieżone góry. A w dolinie – rzeka Lepsi. Teraz dość mocno wylała, więc okolice miasteczka są nieco podmokłe.

Przejeżdżamy główną ulicą, mijając po drodze posterunek policji. Na szczęście dla nas nie było w pobliżu żadnego policjanta. Za to trafiamy na dwóch pieszych, których pytamy o drogę do kanionu. Jeszcze nie zdążyliśmy zapytać, a już oni nas pytają o przepustki, a gdy dowiadują się, że takowych nie mamy to radzą czym prędzej uchodzić. Zamierzamy się rzecz jasna do tej rady dostosować, ale dopiero, gdy zobaczymy kanion rzeki Lepsi. Po krótkiej rozmowie rowerzysta zaproponował nam, że wskaże nam drogę, po czym wsiadł na rowerek i pojechał wzdłuż rzeki. Cóż było zrobić? Sami i tak pewnie nie trafilibyśmy, a znając nasze szczęście trafilibyśmy na pograniczników i wpakowalibyśmy się w kłopoty. Ruszyliśmy więc za rowerzystą, który dość sprawnie na rowerku pokonywał kolejne wzniesienia. Po przejechaniu ok. 5 km dotarliśmy do polanki, gdzie zostawiliśmy nasze samochody i dalej – wraz z naszym przewodnikiem – ruszyliśmy na spacer. Cóż się okazało? Nasz przewodnik to niejaki Sabir Michajłow, opisany w przewodniku Lonley Planet – Central Asia – jako lokalny przewodnik. Lepiej trafić nie mogliśmy. Od niego dowiadujemy się wielu ciekawych rzeczy o roślinach, zwierzętach i miejscu. A poza tym – mamy piękny poranek, śliczne miejsce i masę fajnych zdjęć. Nasz przewodnik obecnie jest pszczelarzem i prowadzi coś na wzór gospodarstwa agroturystycznego. Niestety – obawia się przyjmować „inostańców” bez przepustek, bo w takiej sytuacji i on miewa nieprzyjemności. Po bardzo fajnej wycieczce, rozumiejąc, że jest to jego zajęcie zarobkowe, chcieliśmy uregulować stosowną należność. Sabir nawet o tym nie chciał słyszeć, wykręcił się od zarobku, tłumacząc, że i tak musiał tutaj przyjechać, bo kontroluje jeszcze poziom wody w rzece (sytuacja powodziowa jest tu jeszcze napięta). Skoro nie chciał przyjąć od nas zapłaty – obdarowaliśmy go słodyczami i kolorowankami dla jego dziecka.

Ruszyliśmy w drogę powrotną, czym prędzej uciekając z przygranicznej strefy. Zgodnie ze wskazówkami Sambira (i mapką, którą dla nas wyrysował) minęliśmy dwie wioski i zjechaliśmy z głównej drogi w kierunku na Czerkask. Po drodze mijamy kolejne wioski. Wszystkie są do siebie podobne. Dominują w nich domy z białymi tynkami i błękitnymi zdobieniami. Wszystkie zabudowania są raczej bardzo skromne, dróg albo nie ma, albo są to resztki pamiętające jeszcze ZSRR. Czasem mam wrażenie, że od rozpadu Związku Radzieckiego w jego dawnych republikach czas się zatrzymał.

Widać to szczególnie jaskrawo właśnie w takich prowincjonalnych wioskach, gdzie życie płynie zupełnie innym trybem niż w miastach. Jedyne kontakty z lokalną ludnością mamy przy okazji zakupów, czy krótkich rozmów, gdy pytamy o drogę. Ale nawet tak ograniczone kontakty pozwalają na jakąś refleksję. Tutaj czas płynie inaczej. Nikomu się nigdzie nie śpieszy. A my dla nich jesteśmy swoistego rodzaju atrakcją. Gdy ludzie dowiadują się, że przyjechalibyśmy aż z Polski – nie mogą uwierzyć. Starsi na szczęście wiedzą, gdzie leży nasz kraj, młodszy – niestety nie zawsze.

Zresztą – rozmawiając z starszymi mężczyznami często dowiadujemy się, że przy okazji służby wojskowej w latach 60-tych czy 70-tych odwiedzili miejsce naszego zamieszkania. Najczęściej pojawiają się nazwy Warszawy i Gdańska.

Docieramy do Czerkaska. Od okolicznych mieszkańców dowiadujemy się, że tutaj znajduje się swoiste mauzoleum – pomnik (zwany również memoriałem) poświęcony pamięci obrońców okolicznych miast z wojny bolszewickiej z lat 1918-19. Pomnik mieliśmy przyjemność zobaczyć, przyległego muzeum niestety nie. Obsługa wybrała się na obiad i miała wrócić najwcześniej za 3 godz. Jako że nasz czas jest jednak drogocenny, zdecydowaliśmy się ruszyć dalej. Aaaa. Zanim dotarliśmy do pomnika znaleźliśmy wioskową studnię z ręczną pompą. Po raz pierwszy Beata zabrała się do pracy. A zbiornik w Defie jest pojemny. Cóż się Ona namarudziła, Takiego narzekania dawno nie słyszał żaden z nas.

Na oparach w baku docieramy do miasteczka Kojtyk. Tutejsza stacja paliw przyprawić może właściciela nowego samochodu o porządny ból głowy. Nie chcąc ryzykować kupiliśmy do naszych samochodzików po jakieś 25 dm³. Na jakiejś lepszej stacji zatankujemy do pełna. Tutaj nie chcemy jednak ryzykować. W centrum miasteczka (jakieś 200 m dalej) robimy zakupy (zarówno w sklepach, jak i babinki handlującej przy ulicy) i wybieramy się do lokalnego baru na obiad. Wybór – nie wielki. Właściwie tylko dwa dania – dzisiaj serwują „garnirowany kotlet” (czyli mielone) i laumasz – czyli potrawka z makaronem i ziemniakami.

Jedziemy główną drogą. Przynajmniej z nazwy, bo dziury, garby i nierówności nie opuszczają nas ani na krok. Cały czas kierujemy się na dawną stolicę Kazachstanu – na Ałma-Atę. Mijamy osadę Kyzylgasz. Zaskakuje nas jej widok. Domy budowane są tu hurtowo wg jednego projektu. Równolegle powstaje dobrze ponad 100 domów. Kilkaście jest już gotowych. O co tu chodzi? Od policjanta, podczas kontroli drogowej, dowiadujemy się, że tegoroczna powódź zmiotła całe miasto z powierzchni ziemi i to co budują to odtworzenie domostw dla mieszkańców. Niesamowita siła żywiołów natury dała tutaj o sobie znać.

A potem to już tylko jazda i jazda i jazda. Jako przerywnik – kontrole drogowe. Jak do tej pory praktycznie nie byliśmy kontrolowani przez służby mundurowe, to dzisiaj dla odmiany co krok.

Późnym wieczorkiem zjeżdżamy z głównej drogi, wjeżdżamy w pola na kilka km od szosy i w małej dolince organizujemy sobie obozowisko.

Dzień trzydziesty piąty

5 maj 2010

Zbieramy się szybko. Bez śniadania, zbędnego marudzenia. Mamy podjechać gdzieś koło 100 km i nad jeziorkiem zrobić sobie „wypaśne” śniadanko. Trasa w miarę dobra, można spokojnie jechać. Mijamy przemysłowo – wojskowe miasteczko Sarjuzek i kierujemy się na wschód. Planujemy dojechać do jeziora Kapczagajskiego. Plany ciekawe, ale z realizacją kiepsko. Zjazd z drogi zamiast po ok. 20 km znajdujemy dopiero po 60 km. Wjeżdżamy więc w góry, a tu niespodzianka – szlaban zagrządzający drogę i ogrodzenie z drutu kolczastego. Od mieszkańców dowiadujemy się, że tu niedaleko jest wjazd do parku i że można wjechać tylko jedną drogą. Wracamy więc na asfalt i jedziemy jeszcze kawałek na wschód. Dojeżdżamy do rozstaju dróg, gdzie już są znaki informujące o terenie parku „Ałtyn-Emiel” i o zakazie poruszania się bez stosownych dokumentów. Niedaleko znajduje się miasteczko Basszi, gdzie odnajdujemy biura parkowe. Do tego momentu jest wszystko OK. Jednakże po otrzymaniu informacji o wycieczkach po parku (niezbędny przewodnik, wycieczka całonocna, do zrobienia ok. 240 km, koszt ok. 150 zł od osoby) w grupie następuje rozłam. Ja jestem jak najbardziej za zwiedzeniem parku, zwłaszcza, że znajdują się tu słynne „śpiewające wydmy”, natomiast w opozycji do mnie staje Rysiek, który autorytatywnie stwierdza, że nie warto. Znajdujemy kompromis – Defender wraca od razu na szosę i kieruje się do Ałma-Aty, w celu rozeznania spraw związanych z „registrowką” i zorganizowaniu hotelu. Natomiast Dyskoteka bierze przewodnika i rusza na podbój parku, by późnym wieczorem dołączyć do chłopaków. Jak ustaliliśmy, tak też zrobiliśmy.

Po uregulowaniu stosownych należności w biurze parku otrzymaliśmy komplet dokumentów oraz przydzielono nam przewodnika. Pierwotnie przewodnik miał jechać przed nami na motocyklu, ale doszliśmy do wniosku, że więcej dowiemy się, gdy przewodnik będzie jechał z nami, więc Beata zdecydowała się na mało komfortową podróż z tyłu, gdzie przecież tym razem nie ma fotela.

Podróż po parku podzielona została na dwa etapy.

Pierwszy etap – krótszy, liczyć miał ok. 80 km i w ten sposób mieliśmy dotrzeć do piaskowych barchanów. Droga prowadziła nas po ogromnym stepie, a na horyzoncie majaczyły nam za delikatną mgiełką wysokie góry pasm Mataj i Zajac (nazwy lokalne). Podczas przejazdu przez park czasem odnosiło się wrażenie, że przejeżdża się przez strefę zmilitaryzowaną. Co jakiś czas szlabany (zamykane na kłódkę), posterunki parkowych inspektorów, patrole po drodze. A to przecież tylko park narodowy. Chociaż przy tak wysokich opłatach wjazdowych może i ma to jakieś uzasadnienie. Na stepie nie ma zbyt wiele życia. Tam gdzie jest woda pojawia się nieco bujniejsza roślinność, a także zwierzyzna. Po drodze mijamy kilka małych stad Kułanów (co jak nam tłumaczy przewodnik jest to zwierze podobne do afrykańskiej zebry). Na trasie jest też kilka „rodników” (znaczy się zagospodarowanych źródełek), w pobliżu których pojawiają się drzewa i gdzie zlokalizowane zostały miejsca odpoczynku. Tak docieramy też do piaskowych barchanów. Jest to kilka piaskowych wydm, o łącznej długości ok. 3 km i wysokości dochodzącej do 150 m. A nazwę „śpiewające” zawdzięczają zjawisku dudnienia, które pojawia się podczas suchych dni, przy wysokich temperaturach i silnych wiatrach.

My nie mieliśmy przyjemności posłuchania tych dźwięków, bo wg przewodnika w tym dniu akurat wiał delikatny wietrzyk. Tak delikatny, że głowy nam chciało pourywać. Ale za to mieliśmy przyjemność oglądania zjawiska podrywania piasku z wydmy i tworzenia się mikro lawin.

Bo jakby było inaczej – oboje musieliśmy wspiąć się do góry, na wydmy – co wcale łatwe nie było. W drodze powrotnej, jeszcze z góry, zauważyliśmy, że dojechała kolejna wycieczka składająca się z czterech samochodów. Gdy zeszliśmy na parking okazało się, że to Rosjanie z okolic Nowosybirsk, podróżujący samochodami po Kazachstanie. Nawiązaliśmy kolejne znajomości – bo to akurat byli przedstawiciele motoryzacyjnego klubu **402km** - www.402km.ru. W prezencje otrzymaliśmy ich naklejki klubowe, które oczywiście od razu przykleiliśmy na naszą Dyskotekę.

Wróciliśmy prawie do samego Basszi, gdzie znajduje się baza parku, tylko po to, by rozpocząć drugi etap zwiedzania parku, który liczyć miał ponad 150 km. Pierwszy odcinek drogi to całkiem niezły asfalt, który doprowadził nas do wioski Kalmakra. Dopiero za wioską zaczęła się off-road'owa przejażdżka. Przewodnik prowadził nas stepem, wąskimi, polnymi drózkami. Po drodze kilkakrotnie mijaliśmy pojedyncze zwierzęta, w tym odmianę lokalnego jelenia – Karakujryk.

W tle zaczęły pojawiać się kolejne pasma górskie. Niższe od tych poprzednich, za to zgoła odmiennie ubarwione. Przewodnik wyjaśnił nam, że zmierzamy właśnie ku jednemu z takich osobliwych miejsc, zwanych lokalnie „Białymi Gorami”. Po przejechaniu ponad 70 km wjeżdżamy w bajkową dolinę. Tutaj zostawiamy zarówno samochód jak i przewodnika i ruszamy we dwoje na ponad godzinny spacer po wyżłobionym przez wodę małym, ale niezwykle malowniczym kanionie. Miejsce mieni się odcieniami bieli, żółci i czerwieni. A do tego mamy niezwykle korzystne warunki oświetleniowe, więc jest nadzieja na niezłe zdjęcia. Tylko męczy nas upał. W tym miejscu temperatura dochodzi do prawie 40 stopni na plusie. Nam dogodzić chyba się nie da. Dopiero co narzekaliśmy na silne mrozy, teraz wykańcza nas upał. Jak nas w kwestii klimatu zadowolić? Trudno rzec. Po upływie godziny, musieliśmy ruszyć w drogę powrotną. Droga była tak monotonna, że przewodnik wraz z Beatą padli mi w samochodzie i przespali dużą część drogi. Dobrze, że GARMIN rejestruje mi ślad, po którym jechałem, bo pewnie nie wróciłbym do miejsca wyjazdu. Wróciliśmy do Basszi, gdzie pożegnaliśmy się z naszym przewodnikiem i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Zanim udało nam się wyjechać na szosę zajrzałem jeszcze pod auto, zmartwiony silnym ściąganiem auta na prawo. I dobrze zrobiłem, bo po jeździe po wertepach ujawniła się drobna usterka – rozkręcił się częściowo przedni most. Kilka minut pracy, uzupełnienie olejów i ruszamy dalej.

Do samego Sarjuzek wracamy drogą, którą jechaliśmy razem. Później kierujemy się na Ałma-Atę. Droga jest całkiem niezła, udaje się nam na prawie całym odcinku utrzymać prędkość ok. 90 km/h, co jest całkiem przyzwoitym osiągnięciem, biorąc pod uwagę jakość lokalnych dróg. Po drodze mijamy jezioro Kapczagajskie (które ma całkiem przyjemną lokalizację), miejscowość Kapczagaj (w której znajduje się całkiem sporo hoteli) i późnym wieczorem docieramy do Ałma-Aty. W międzyczasie Janusz wysłał nam koordynaty i adres hotelu, gdzie chłopcy zarezerwowali dla nas pokój. Jeszcze tylko szybka kolacja i udajemy się na zasłużony odpoczynek. No – może to za dużo powiedziane, bo przed nami jeszcze pranie – kładziemy się dopiero przed godziną 2 czasu lokalnego.

Dzień trzydziesty szósty

6 maj 2010

Dzień planujemy zacząć od załatwienia „registrowki”. Odbieram paszporty z recepcji, gdzie „hadzajka” z uśmiechem na ustach informuje nas, że w czwartki i tak nic nie załatwimy, bo emigracyjna policja ma dzisiaj dzień wolny. Nie powiem co mało nas nie trafiło.

Ruszamy więc spacerkiem przez miasto, kierując się na ambasadę Iranu i konsulatu Kirgizji. Na szczęście ich lokalizację mamy zaznaczoną na planie w przewodniku. Marszrutę (tym razem pieszą – Land Rover’y grzecznie odpoczywają na parkingu przed hotelem) staram się tak dobierać, by zobaczyć możliwie jak najwięcej. Dawna stolica Kazachstanu (bo w 1998 roku stolicę przeniesiono do nowo wybudowanej Astany) zaskakuje nas ilością zieleni. W mieście jest sporo parków i skwerów, ale przede wszystkim przy każdej z ulic pozostały drzewa, które dodają miastu sporo uroku i przystaniają nieco post-sowiecką zabudowę. Docieramy do kirgiskiego konsulatu, gdzie dowiadujemy się, że z przekroczeniem granicy nie będzie problemów, jest otwarta dla obcokrajowców, a nasze wizy są ważne. To dobra wiadomość. Gorsza wiadomość jest taka, że po sąsiedzku miała być ambasada irańska, która jednak czas jakiś temu została przeniesiona.

Nikt w okolicy nie był władny nam tego powiedzieć. Poszukaliśmy więc taksówki, koniecznie z bazą (my wiemy co to znaczy, a Beata skacze mi o to do gardła), której właściciel namierzył adres ambasady irańskiej. Uzgodniona cena wprawdzie nas powaliła – za kurs chciał 5000 tengów – ale co było zrobić? Dojechaliśmy do ambasady, a właściwie do konsulatu, bo ambasada Iranu została przeniesiona do Astany i dowiedzieliśmy się co i jak. Generalnie pracownik konsulatu zrobił kopię naszych paszportów i wiz i obiecał załatwić sprawę tak, by wizy były do odbioru w Taszkencie.

Mam nadzieję, że uda się to zrobić, bo nasze wizy lada dzień stracą ważność, a jak by to było nie wjechać do Iranu? Wróciliśmy do taksówki, gdzie okazało się, że taksówkarz za kurs chciał 500 a nie 5000 tengów. A skoro tak – to zrobiliśmy jeszcze objazd konsulatów – tadżyckiego i turkmeńskiego – niestety obydwaj już dzisiaj nie pracowały. Wobec tego nasz kierowca zawiózł nas do parku Panfilowa. Tutaj znajduje się ogromny pomnik poświęcony ofiarom II wojny światowej – a teraz, ze względu na 65 rocznicę zwycięstwa – ludzie masowo przynosili kwiaty, a wartość honorową trzymali młodzi pionierzy. W Rosji i w dawnych republikach sowieckich pamięć o II wojnie i jej ofiarach jest jakby dużo bardziej kultywowana niż u nas. Odnawia się pomniki, na każdym kroku widać ślady nawołujące do pamięci. A z okazji 65 rocznicy jest tutaj szykowana wielka feta. W parku znajduje się również piękna, drewniana cerkiew Zenkowa, którą mamy przyjemność zobaczyć zarówno zewnątrz jak i w środku. Dziwi może tylko lokalizacja – w jednym parku po sąsiedzku stoi cerkiew i pomniki poświęcone wojnie. To takie jakieś małe sowieckie. Przyjemnie natomiast patrzy się na dzieci i młodzież, odświętnie ubraną i z kwiatami. Coś niezwykłego. Za parkiem znajduje się Zielony Bazar. To intrygujące miejsce nazwę zawdzięcza zielonemu budynkowi, w którym jest zlokalizowana zdecydowana większość punktów handlowych. Duża część to budy znane z naszych bazarków, na których koncentrował się handel w latach dziewięćdziesiątych.

Najciekawszą część stanowiła ogromna hala, gdzie ulokowały się stoiska mięsne, z nabiałem i z owocami. Miejsce ma specyficzny klimat, potęgowany przez plejadę różnych zapachów. Tutaj poznajemy sympatycznego sprzedawcę, który z uporem godnym uznania sprzedaje nam suszone morele i pyszną chałwę. Dzięki niemu mamy również kilka fajnych zdjęć.

Później na stanowisku z nabiałem znajdujemy kumys (sfermentowane kobyłe mleko) i szubat (sfermentowane wielbłądzie mleko). Wszyscy – z wyjątkiem mnie – raczyli się tymi specjami, twierdząc, że zdecydowanie lepsze jest te, pochodzenia wielbłądziego. Po niewielkich zakupach, spacerkiem wróciliśmy do hotelu. Po drodze zajrzeliśmy do kilku sklepików, a na miejscu, niedaleko naszego hoteliku, znaleźliśmy internetową kafejkę, co pozwoliło na krótki kontakt z naszymi bliskimi.

Dzień trzydziesty siódmy

7 maj 2010

Zgodnie z planem pobudkę skuteczniliśmy tak, by możliwa była wizyta na komendzie policji emigracyjnej. Założenia były takie, że „registrowkę” załatwiamy podobnie jak w Semieju. Wyposażeni w potwierdzenie meldunku w hotelu „Dostyk” ruszyliśmy rażno na komendę. Pierwsza niespodzianka – mimo rozpoczęcia pracy o 9.00 nie zostajemy na policję wpuszczeni. Rozdzielamy się – Beata i ja ruszyliśmy z kopiami dokumentów do konsulatu Turkmenistanu w celu uzyskania informacji o przedłużeniu wizy. W tym czasie Janusz z Ryśkiem mają czekać i załatwić w razie co sprawy na policji. W konsulacie dowiadujemy się, że procedura potrwałaby ok. tygodnia, na co rzecz jasna nie możemy się tutaj zdecydować – sprawę wizy turkmeńskiej, podobnie jak i irańskiej – postaramy się załatwić w Taszkencie. Wracamy na komendę, a tu złe wieści. Chłopaki dowiedzieli się tylko tyle, że nasz meldunek w hotelu był guzik wart i że złamaliśmy prawo meldunkowe. Razem załatwiamy wszystkie formalności – całość kosztuje nas prawie 60 tyś. tengów. Ale to nie koniec. Po skompletowaniu wszystkich niezbędnych dokumentów, napisaniu stosownych podań i uiszczeniu karnych opłat idziemy do okienka, gdzie oficer odbiera komplety dokumentów z naszymi paszportami, daje potwierdzenia i informuje, że możemy odebrać dokumenty we wtorek, 11 maja. Mało nas szlag nie trafił. Z trudem przekonaliśmy go, by jednak może przygotował te dokumenty na dzisiaj, na co z łaską się zgodził po czym poinformował żeby pojawić się o godzinie 18.

Mamy więc kolejny dzień na poznawanie Ałma-Aty. Robimy mały rajd po okolicznych kafejkach i jadłodalniach, odwiedzamy kilka sklepów, wstępujemy na pocztę i odwiedziliśmy rejon powstającego centrum sportów zimowych – w 2011 Kazachstan organizuje azjatyckie igrzyska zimowe. O godzinie 17.15 pojawiajemy się ponownie na komendzie, gdzie zaczynają się zbierać już ludzie. O 18 tłum był już tak „gęsty”, że nie można było się ruszyć. A oficer z paszportami pojawił się dopiero dwadzieścia minut później. I zaczął się sajgon. Regularna wojna w dostaniu się do okienek. Prym wiodły dwie starsze panie, które nie wiedziały gdzie, byle tylko się dopchać. Najbardziej nam żal było dwóch amerykańskich chłopaków, którzy teraz po południu dopiero chcieli złożyć stosowne dokumenty. Mieliśmy troszkę szczęścia w nieszczęściu – udało się nam załatwić „registrowkę” do końca pobytu, mimo, że sporo nas to kosztowało.

Wracamy do samochodów, które cały dzień stały pod naszym hotelem, żegnamy się z miłą „hadziąjką” i ruszamy na wschód. Kierujemy się na Kengen, za którym zamierzamy przekroczyć granicę z Kirgizją, a wcześniej odwiedzić kanion caryński.

Udaje się nam przejechać raptem z 30 km, po czym zatrzymujemy się na nocleg

Dzień trzydziesty ósmy

8 maj 2010

Pierwszy postój dzisiejszego poranka mieliśmy przy punkcie poboru wody. Tutaj poza źródłem znajdowały się dwie kawiarenki, z czego jedna na tyle oryginalna, że zdecydowaliśmy się na kawę z blinami (które okazały się naleśnikami). Oryginalność polegała, że dla gości przeznaczona była kazaska jurta. Nieco inna od tych, które mieliśmy okazję podziwiać w Mongolii – przede wszystkim była wyższa i inaczej zdobiona. A w środku niskie stoliki, wokół których rozłożone były maty. Najwyższy poziom wygody osiągnąłem, gdy wyłożyłem się jak długi na podłodze.

Po przejechaniu kilkudziesięciu km na moim GPS'ie pojawiła się niebieska flaga – znaczy się punkt, który podczas przygotowywania uznaliśmy za interesujący. Tutaj pojawiły się dwie flagi oznaczające jezioro Bartogaj i zlokalizowany w pobliżu mostek. Zmieniamy więc plany (podczas wstępnych spotkań uprzedzałem towarzyszy, że w podróży często improwizujemy) i zjeżdżamy z drogi głównej prowadzącej do Kanionu Caryńskiego na boczną dróżkę. Zanim dojechaliśmy do jeziora minęła nas grupa kazachstańskich zmotoryzowanych turystów, a pierwsza próba objechania jeziora skończyła się niepowodzeniem – niestety na końcu drogi znajduje się teren zamknięty pilnowany przez policję. Zresztą jeden z policjantów w bardzo grzeczny, aczkolwiek zdecydowany sposób poprosił nas, byśmy czym prędzej opuścili ten teren. Ruszyliśmy w drugą stronę, wzdłuż jeziora, by po kilku km dotarliśmy do rzeczki i do drogi zamkniętej szlabanem. W dolinie rzeki znajduje się siedlisko, którego właściciel wydaje pozwolenia wjazdu (płatne 800 tengów) i otwiera szlaban. Z rozmowy i pokazywanej przez niego mapy wynikało, że można objechać trasę w formie pętli po górach. Po minięciu szlabanu okazało się, że po przejechaniu może 2 km droga się skończyła, a dalej można wybrać się na spacer. Nie myśląc zbyt długo zaparkowaliśmy samochody, przebraliśmy buty na bardziej odpowiednie w góry i wybraliśmy się na dwugodzinną „przebieżkę” po okolicznych górach. Niby nic, ale idąc z Beatą, w której włącza się w górach natura kozicy, nie jest to takie hop-siup.

Po powrocie do samochodów zrobiliśmy sobie mały piknik nad rzeczką, Beata zrobiła pyszne śniadanko (szkoda tylko, że było już dobrze po 15 godzinie). Nakarmiła nas świeżym chlebem z domowej roboty masłem i pysznym żółtym serem. Janusz swoim zwyczajem musiał rzecz jasna ponarzekać, ale po minie widać było, że i jemu smakuje.

Zrobiliśmy dzisiaj jeszcze tylko kilka km, znaleźliśmy bowiem betonowe najazdy, na których zrobiliśmy mały przegląd samochodów. Dokręcenie łożysk w piastach kół, uzupełnienie olejów – niby nic, ale liczymy na wdzięczność naszych maszyn.

Nocleg znaleźliśmy na małej polance, schowanej wśród niewysokich pagórków, raptem 15 km od kanionu. Na kolację zjedliśmy makaron z sosem własnej koncepcji. Pycha. Można nam pozazdrościć.

Dzień trzydziesty dziewiąty

9 maj 2010

Dzisiaj w Kazachstanie wielkie święto. Dzień zwycięstwa („pobiedy”) świętowany jest tutaj wyjątkowo hucznie. A z tego względu, że wypada w tym roku w niedzielę wszyscy mają wolne również jutro. To wszystko oznacza dla nas nieco utrudnień, w tym być może także związanych z przekroczeniem granicy. Już w piątek, a także wczoraj można było zaobserwować wzmożony ruch na drogach i ludzi uciekających z miasta na łono przyrody.

Dzień zaczynamy wcześnie, kawką i śniadaniem, tak by możliwie jak najszybciej dotrzeć do kanionu. Zjeżdżamy z miejsca noclegowego na pełną dróżkę i po paru minutach zostajemy zauważeni przez kierowcę zielonej Niwy. Jak nas zauważył od razu zawrócił i nas zatrzymał. Był to strażnik z Parku Narodowego Czaryńskiego Kanionu, który od razu chciał zafundować nam „sprawkę” (mandat). Podejrzał nas, że jesteśmy dzikimi myśliwymi i że polujemy bez zezwoleń. Kilka minut rozmowy, jego nastawienie od razu się do nas zmieniło i ruszyliśmy za nim do parku. Na wjeździe ustawiony jest szlaban i kontener robiący za biuro parku. Tutaj pobierana jest też opłata za wjazd (ok. 700 tengów za osobę). My jednak dość po przyjacielsku prowadzimy rozmowę z strażnikami parku, którzy pokazują nam pamiątkowe zdjęcie jakie otrzymali od Polaka – Tomka Chyzińskiego z Wałbrzycha, który próbuje na rowerze objechać świat dookoła. Z tego zdjęcia spisaliśmy oczywiście adres internetowej strony naszego rodaka – www.chyzinski.republika.pl, który przy najbliższej okazji odwiedzimy. Nie chcąc być gorsi – zaproponowaliśmy im wspólne pamiątkowe zdjęcie przy samochodach, na co zgodzili się z ochotą. A gdy zrobiliśmy im 6 odbitek – zrezygnowali nawet z opłaty, tak więc wjechaliśmy nie ponosząc żadnych kosztów – ba, nasza drukarka zamortyzowała się w ok. 10 %.

Wjechaliśmy więc do parku. Już z daleka widać, że jest to piękne miejsce. Po parku można jeździć samochodem, nie mniej – my decydujemy się zostawić nasze Land Rover’y na górze, na małym parkingu, skąd schodzimy w głąb kanionu. Czeką nas ponad godzinny spacer drogą wijącą się przepiękną okolicą. Właściwie to ja cały czas nie robię nic innego jak kolejne fotki, a Beata w tym czasie kręci filmiki. Skutkuje to oczywiście tym, że wlecemy się niemiłosiernie i chłopaki zdrowo zostawiają nas w tyle. Za to mamy tyle zdjęć ... Część kanionu, którą spacerujemy ma ok. 3 km długości, a różnice poziomów wynoszą ok. 200 m. Potęguje to odczucia. W tej części kanionu rzeka już pewnie od wielu (setek) lat nie płynie, ale to co woda zrobiła powoduje, że czujemy się jakbyśmy się w jakąś bajkową krainę przenieśli. Jedynie co nam nie dopisuje, to przeciętna pogoda. No ale przecież jesteśmy w górach, a właściwie na pogórzcu bardzo wysokich pasm górskich. Dochodzimy do polanki, gdzie w pełnej krasie prezentuje się rzeka Czaryń, od której to kanion wzięł swoją nazwę. Górską rzeką o bardzo silnym prądzie, gdzie organizowane są raftingi, ale zgodnie z otrzymaną informacją od strażników, właśnie tutaj na początku maja utopiła się Rosjanka. To chyba o tej dziewczynie wspominał nam przewodnik w Lepsinsku. Na polance odpoczywają w takt głośnej muzyki młodzi Kazachowie, którzy pokonali wzdłuż cały kanion swoimi samochodami z napędem 4x4. Jeden z nich, jak zobaczył nas spacerujących zaoferował nawet podwiezienie, a gdy grzecznie odmówiliśmy – wyraził swoje zdziwienie. No cóż – znowu – co kraj to obyczaj. Nie mniej – miejsce jest niezwykle, piękne i atrakcyjne turystycznie, co w przyszłości może spowodować najazdy turystów. Na razie jest jednak dziewicze, brak tu jakiegokolwiek infrastruktury turystycznej, a Kazachowie nie specjalnie o te miejsce dbają. Po ścieżkach dają się zauważyć sterty śmieci.

Cóż – należy mieć nadzieję, że kiedyś pójdą po rozum do głowy i nauczą się szanować to co mają. Z polanki szukamy jakiegoś wejścia na górny poziom, tak by móc podziwiać to miejsce także z góry. Znajdujemy ścieżkę, która bardzo ostro prowadzi nas w górę, tak, że różnicę poziomów prawie 200 m pokonujemy na bardzo krótkim odcinku. Ledwie żywi podziwiamy kanion także z góry, po czym wracamy do samochodów, gdzie Janusz już na nas czeka z kawką (on nas normalnie rozpieszcza).

W drodze powrotnej z kanionu w kierunku szosy asfaltowej mijamy srebrne Suzuki na czerwonych tablicach. Po chwili woła nas załoga Defa, żebyśmy zawracali, bo to są Polacy. Natychmiast nawracamy i po kilku minutach poznajemy ekipę pracowników z naszego konsulatu w Kazachstanie. Po kolejnych kilku minutach dojeżdżają kolejne 3 samochody z naszymi rodakami. A co ciekawe – jednym z turystów jest nasz polski Ambasador akredytowany w Kazachstanie.

W towarzystwie rodaków spędzamy miłe chwile częstowani przez nich lokalną potrawą – „lepioszką” z cebulą (jest to rodzaj ciasta serwowanego nie na słodko), a także naszym pysznym „murzynkiem” domowej roboty. Pycha.

Po miłym spotkaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Kierujemy się na Kegen, skąd już tylko rzut kamieniem do granicy z Kirgizją. Biorąc jednak pod uwagę, że dzisiaj jest niedziela i na dodatek święto państwowe – rezygnujemy z dojazdu do granicy, zjeżdżamy w górach na spokojną polankę, gdzie zamierzamy zrobić „czas gospodarczy” – znaczy się znowu należy zadbać nieco o estetykę naszych pojazdów. W tej materii Janusz wydaje się nieugięty, pucuje swego Defa jak szalony. A mnie co zostaje? Nie mogę przecież Dyskoteką straszyć, więc też zabieram się do roboty, co jest o tyle ułatwione, że zaczyna grzmieć i padać wiosenny deszcz.

Kazachstan żegna nas deszczem. Już jutro dla nas będzie tylko wspomnieniem.

